



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś.  P.

### Aleksandra Borkowska.

Prawdę mówi ludowe przysłowie, że: kamień na miejscu porasta, a cóż dopiero, długa, wytrwała praca, w jednym raz podjętym, obmyślanym kierunku, ku jednemu, niezawodnemu celowi zwrócona, praca wykonywana z nakładem zdolności, usilnej chęci i obowiązkowej wytrwałości. Musi ona wydać plon, zasiany głęboko, doglądany starannie, zbierany skwapliwie, dla dobra tych, których się sercem ukochało szeroko i daleko, a którzy nie zostają obojętnymi na widok straty takich wytrwałych pracowników.

Wzorem właśnie wytrwałości w działaniu pożytecznym, dla społeczeństwa była zgasła dnia 24 Lutego b. r. ś. p. Aleksandra Borkowska, autorka i redaktorka paru pism z kolei, w które włożyła całą myśl swoją, poglądy, dążenia, przekonania, mające zawsze na celu dobro rodziny naszej, podniesienie ducha, uszlachetnienie serca. Przez lat kilkadziesiąt stać na czele czasopism, mających powyższe zadania, wkładać w nie wszystkie swe siły, strzedz pilnie raz obranego kierunku, starać się tak szczerze o dobór treści, nie zrazić się niejedną trudnością i utrzymać pożyteczne wydawnictwa nakładem swej pracy duchowej a nawet i ofiarami materyalnemi, to, istotnie, nie małe zadanie, wielka zasługa i piękny przykład.



Ś. p. Aleksandra Borkowska.

To też p. Borkowska jako redaktorka zjednała sobie ogólny, szczerzy szacunek, w bliższem gronie nawet uwielbienie, a pozostawiła społeczeństwu rzecz ważniejszą nad literacką spuściznę, bo żywotny dowód, że gdy się wytrwale idzie naprzód po obranej drodze, gdy się poświęci rzeczy pożytecznej, gdy się swe życie wypełni szlachetnym obowiązkiem, to się daje przykład ludzkiej dobrej drogi, przykład, jak życie swe urządzić można, aby nie przejść bez owoców i koniecznej cząstki swej w ogólnej działalności narodu.

Ś. p. Aleksandra Borkowska urodziła się w r. 1828 w Uszrzewie, w sandomierskiem, z ojca Franciszka Chomętowskiego i matki Konstancyi z Orłowskich, i już podjadchem domowym, otrzymawszy bardzo staranne wychowanie i wykształcenie, zdradzała zamiłowanie do pracy i do zawodu literackiego.

Wyszędzszy za mąż za Józefa Dunina Borkowskiego, właściciela Żelazna na Podlasiu, przebywała tamże czas jakiś, a owdowiawszy w r. 1856, przeniósła się na stałe do Warszawy. Tutaj oddała się już z prawdziwym zamiłowaniem pracy literackiej, mając jako wyborynych towarzyszy i współpracowników dwóch swych braci: Władysława, piszącego wówczas już od lat wielu, i Stanisława, doktora, późniejszego zięcia A. E. Odyńca. Wspólnie z Józefą Smigielską (Dobieszewską) napisała „Obrazki z życia świątobliwych Polaków i Polek“ (1859), a wkrótce potem wyszły i „Wspomnienia z przeszłości“, obrazki poświęcone młodemu wiekowi (1860, wyd. 2, 1877). Następnie pojawiła się prześlizczna, ulubiona przez młodych czytelników, powieść dla młodzieży: „Marya Klementyna, opowiadanie o wnuczce króla Jana III“ (1861), a potem wyszły: „Powieści i opowiadania

dla młodego wieku." Opowiadania historycznymi zasilala również w latach 1862—63 „Rozrywki dla młodocianego wieku” Pruszkowej.

Nie pracując jednak dla literackiej sławy, największy dorobek swego obfitego pióra pozostawiła A. Borkowska w wydawanych przez siebie pismach, najpierw w dwutygodniku „Kółko domowe,” dalej: „Kronice Rodzinnej” i w „Wieczorach rodzinnych,” których redakcję objęła po śmierci Maryi Zaleskiej. Najcenniejszym i najobfitszym w treść literacką czasopismem była „Kronika rodzinna.” Punktem wytycznym pisma tego, był kierunek spokojny, zachowawczy, religijny, z uwzględnieniem urozmaiconej treści literackiej, wśród której znajdowali czytelnicy takie wartościowe i pierwszorzędnne prace, jak: „Listy z podróży” A. E. Odyńca, korespondencję Mickiewicza, Zana, Ig. Chodźki, Boh. Zaleskiego, Domeyki, Korsaka i inne niepospolite treścią i formą prace literackie.

Kobietom zalecała szanowna autorka zawsze podnoszenie ducha, wyrabianie w sobie cnót i pożyteczną pracę na mniejszą lub szerszą skalę, ale pracę mającą cel, rację bytu i istotny pożytek. W ogóle na wszystkich pracach redakcyjnych s. p. Borkowskiej ujawnia się dobitnie piętno wielkiego rozsądku, miary, moralnego surowego poglądu na ludzi i sprawy i zamiłowanie do przedmiotów historycznych, to jest właśnie takich, które z natury rzeczy mają w sobie najwięcej oczywistości i powagi faktu. Struna wyobraźni i uczucia przebijająca więcej a czasem bardzo ładnie w książkach, trzymana jest w pracach redakcyjnych na wielkiej wodzy i hamowana uważną nader dłonią kierowniczką, wymagającą od ludzi przedewszystkiem powagi, zastanowienia i pracy nad umoralnieniem jednostek i ogółu współziomków.

Do współdziałania w tym kierunku powoływała zawsze kobiety, wskazując jej drogi praktyczne, dążące do pożytku i do możliwego zapewnienia sobie samodzielności. Sama dawała najwymowniejszy tego wszystkiego przykład i właśnie, mianowicie dla kobiet, ten przykład wypełnionego pracą życia aż do dni ostatnich jest bardzo niepospolitym i bardzo wymownym drogowskazem.

Opróżnione miejsce wśród społeczeństwa po tej niestrudzonej pracowniczce jest bardzo dotkliwą stratą, a ponosi ją nie tylko literatura, nie tylko bliscy, ale i wszyscy ci, których smutek lub nędzę znała i łagodziła p. Borkowska, jako bardzo czynna, umiejętna i gorliwa uczestniczka niemal wszystkich filantropijnych zakładów, a szczególnie opiekunka „Schronienia dla paralityków,” założonego ongi przez ciotkę p. Borkowskiej s. p. Piłsudzką, a noszącego dziś imię hojnego dawcy p. Feliksa Sobańskiego.

Widzimy, że zostawiwszy pióru swemu powagę, spokój i rozsądek, serce swe i uczucia zwróciła do tych biednych nieszczęśliwych, którzy nie znając jej prac literackich, wyczytywali potylekroć w jej oczach współczucie, miłosierdzie i ulgę dla siebie. Dopiero u trumny tej szanownej kobiety zbiegły się wszystkie owoce jej pracy rozmaitej a nieznannej w dużej części, zbiegli się bliscy, koledzy, literaci, autorzy, i biedni, chromi, nieuleczalni, każdy z działem swego żalu, słowem lub łzą.

Krótkim a zwiezłym określeniem działalności s. p. A. Borkowskiej jest — umiejętność wypełnienia całego swego życia wytrwałą, szlachetną i harmonijną w swej całości pracą.

*Szczęsną.*

## POGAWĘDKA.

Ucichły już gorące utarczki i kłótnie namiętne, tyjące się praw kobiety. Dziś prawie niema rozsądnego człowieka, któryby twierdził, że kądziel powinna być jedynym przywilejem niewiasty, że myśl jej nad dym domowego ogniska wzlatać nie powinna, że najpiękniejszą jest tylko wtedy, gdy umorusanym dzieciakom noski ociera, a opasawszy się białym fartuchem, pilnuje, by panu swemu nieprzepsaloną pieczeń do stołu podano. Minęły te czasy, gdy rodowi męskiemu, strwożonemu na razie wzmagającym się ruchem niewieścim, odpalantowywano w ten sposób:

— Zacni panowie! życie nie piosnka, rzeczywistość marzeniem nie jest. Poezya mówi:

„Ona mu z kosza daje maliny, a on jej kwiatek do wianka.”

Proza zaś, ta codzienna, widziana przez wszystkich proza—powiada:

„Ona go kijem w kark uderzyła, on ją łopata po grzbiecie.”

Zacietrzewia walka każda, i—jeżeli poezya tworzyła nadziemską idyllę, proza do niej zupełnie plecyma się odwróciła i do garderoby zajrzała, zkąd wyciągnęła kij i łopata. Tymczasem dyabeł tak strasznym nie był jak go odmalowywano—bojujące strony przyjrzały się bliżej położeniu i powoli wyciągnęły ku sobie dłoń zgody. Bez zaprzeczenia, że kobiety odniosły zwycięstwo, niech tylko nie mówią, o nieszczęśliwych niewolnicach, które, parę set lat temu, jak trusie patrzyły tylko w oczy swych panów mężów, pozbawione zupełnie głosu w tak głośnej teraz sprawie. Nie mówiąc już o tem, że babki nasze nie miały czasami udział brały w życiu publicznym, lecz umiały też i nieraz o własne upomnieć się prawa, wypisać artykuły swych żądań i podać panom sejmującym do zatwierdzenia. Emancypacyjny ruch więc niewieści nie jest nowością u nas. Nie musiał jednak być groźny, gdy nie o jego stłumieniu nie słyszeliśmy, lecz znów tak wielkie nie było tyranstwo mężczyzn, gdy głos kobiet przedarł się aż do sal sejmowych nie zatrzymanym w pochodzie swoim ani stłumionym w zarodku.

Ciekawy pomnik ruchu kobiecego u nas posiada w swych zbiorach biblioteka jagiellońska

Jest to rękopis z siedemnastego wieku zanotowany w katalogu pod napisem: „Artykuły panińskie.” Artykułów tych jest dwadzieścia pięć. Rękopis zawiera żądania niewiast przedstawione sejmowi polskiemu za panowania Władysława IV-go. Niektóre z tych żądań są tak charakterystyczne, iż nie możemy się powstrzymać od podzielenia się nimi z czytelnikami niniejszego pisma. Oto, zaraz na wstępie, czytamy:

„W uwadze, iż stało się powszechnym zwyczajem, że młodzi panowie zbyt wiele czasu tracą na staranie się o żonę i zbyt długo nas powstrzymują od ostatecznego postanowienia, ma być postanowiony termin prekluzyjny na czas od oświadczenia się do istotnego zawarcia małżeństwa, który ma upłynąć najdalej w Czerwcu każdego roku.”

Artykuł V-ty myśl tę rozszerza, albowiem domaga się ukarania grzywną 1,000 złp. „wpływającą do kassy dla osierociałych panien, wszystkich młodzieńców, którzy, oświadczywszy się o pannę w czasie zapust, nie poprowadzili jej najdalej w Czerwcu do ołtarza.” Ale najenergiczniejszy jest artykuł VI-ty.

Ten opiewa:

„W uwadze, iż wielu panów młodzieńców zaniedbuje obowiązki rodzinne i dochodzi częstokroć do późnego wieku, nie obrawszy towarzyski żywota—okazuje się koniecznym ustanowienie w każdym powiecie pewnych terminów, co najmniej czterech w roku, na zgromadzenia, na których mają się zbierać zarówno młodzieńce jak i panny, a to w celu zawarcia znajomości.

Kto z panów młodzieńców bez przyczyny nie przybędzie, ma być pozbawiony—czci!”

Widzimy tu już karę, ale, doprawdy, że myśl artykułu jest przewyborna i mogąca być i dzisiaj z dobrym skutkiem zastosowaną. Za energicznym jest tylko pozbawienie czci—ale grzywna przydałaby się; zyskałyby na tem biedne panny, którym natura odmówiła urody, a fortuna brzęczących łask swoich.

Gdybyśmy nie wiedzieli z góry, że artykuły sformułowane były przez *panny*, upewniłyby nas o tem artykuł X-ty. W nim już godności mają być pozbawione wdówki, które nie dają za wygranę i jeszcze próbują potęgi swych wdzięków.

Oto, co w nim czytamy:

„Ponieważ wdowy, pomimo utraty dwu nawet mężów, nie wstydzą się wabić młodzieniaszków, żądamy: aby wdowom wyżej lat 40, pod karą utraty czci, zabronione było małżeństwo, a to także z przyczyny, że tak letnie wdowy powinny raczej gotować przedziwo i odmawiać pa-cierze.”

Widzimy z tego artykułu, że i płci własnej nie przebaczone; widzimy również, że matrony zamężne, jako też i te, których los małżonków pozbawił, na dolę swoją ani tyranów swoich nie narzekały, bo nie znaleziono dotąd artykułów *pani zamężnych* ani też *wdowich*. Ponieważ zaś nie „składały buzi w ciup” lecz własną interesowały się przeszłością, więc pod obrady sejmowe, żądania swoje poddały.

Artykuł XI-ty żąda uwolnienia od podatków i potaniania kosmetyków, gdyż: „skoro nie wszystkie panny cieszą się czarującą pięknoscią, nie można żadną miarą mniej pięknym odmawiać środków do podniesienia wdzięków.”

Ciekawy to artykuł...

Za przykład stawiano pannom dzisiejszym babki ich i prababki, które nie gardziły widocznie różem i bielidłem. Nie dajemy tem wcale rozgrzeszenia malującym się paniom wieku naszego, lecz znów tak wielkiego zgorzienia dziś nie widzimy, żebyśmy aż przykładami z przeszłości, mieliśmy wpływać na poprawienie złych obyczajów dzisiejszych. Przykłaśniamy za to z całego serca Artykułowi XIV-mu, który, domaga się postanowienia, że kawaler, mający najwyżej trzydziesty rok życia obowiązany jest obrać sobie małżonkę. Z jakiej racji nasz aplauz wypływa—nie będziemy w tej chwili mówić o tem, lecz w wielu razach możeby nam słuszność przyznano.

Następne artykuły zawierają żądania, aby tylko ludzie podobnych usposobień, wad lub zalet wchodzili z sobą w związki małżeńskie... Ale koroną dzieła jest postulat brania do wojska tylko takich wdowców i kawalerów, którzy są pozbawieni „wszelkiej energii życiowej” albo też dotknięci wybitną ułomnością jakąś. W zapamiętaniu sw. jem zapomniwały niewiasty, że z wojakami bez—tej „energii życiowej” nie broni się murów Chocimia ani się gna Kara-Mustafów z pod bram Wiednia.

Gdy jednak panny pamiętały o sobie, o wdowach, nie zapomniały i o małżonkach uciśnionych. Artykuł XX, bierze w obronę te nieszczęśliwe istoty i tak mówi:

„Ponieważ znajdują się mężowie pozbawiający małżonki przyjemności tańca, żartów i innych rozrywek, mają te im być dozwolane prawem na przeciąg dziesięciu lat, od zawarcia małżeństwa.”

Inne były czasy, wymagania też były inne—ale...

Dzwon słyszę...

Ach! ktoś znowu ziemską pielgrzymkę zakończył i poszedł do wieczystego świata tajemnie.

To brzemie życia mozolnego złożyła z bark swoich do grobu s. p. Aleksandra Borkowska.

Urodziła się w r. 1828 we wsi Usarzewie w powiecie sandomierskim. W domu rodzicielskim staranne otrzymała wychowanie, ojciec Franciszek i matka Konstancja z Orłowskich należeli do ludzi światłych i umieli rozum i serce córki wykształcić.

S. p. Borkowska od lat najmłodszych miała pociąg do literatury. Wieś nie sprzyjała rozwojowi jej talentu, w 28 więc roku życia po-

śmierci męża swojego, Józefa Dunina Borkowskiego, właściciela Żelizna, przeniosła się do Warszawy, gdzie serdeczne przyjęcie znalazła w gronie ówczesnych literatów.

W r. 1859 wespół z Józefą Śmigielką napisała: „Obrazki z życia świątobliwych polaków.

W rok później: „Wspomnienia z przeszłości.“ następnie wyszła z druku „Marja Klementyna“ a w r. 1874 wydała: „Powieści i opowiadania dla młodego wieku.“ Od r. 1861 do 1868 stanęła wraz ze Śmigielką na czele poczytnego pisemka: „Kółko Domowe.“ Od 68-go zaczęła wydawać „Kronikę Rodziną.“ która rzetelny pożytek rodzinom polskim przyniosła.

Głęboka miłość kraju, wiara w piękno i prawdę, religijność i pobożność nieklamana wiały z każdej jej pracy. Przeszłość czcigłównie otaczała, to też w tę przeszłość oczy zwracała najczęściej, w niej szukając pokrzepienia dla duszy — i sił na przyszłość. Dobrocią podbiwała ludzi, dobrodziejstwami serca wszystkich malutkich i opuszczonych. To też tłum liczny odprowadził jej zwłoki na cmentarz, a z ust wszystkich głęboki szepot popłynął:

„Wieczny odpoczynek racz jej dać, Pani!“

??

## W albumie panny S. K.

Młodość wciąż wielkich uczuć i prawd nowych chciwa,

Wiecznym ogniem zapału płoną jej źrenice,  
W sercu słonecznych blasków mapelną skarbnicę.  
Nie znosi więzów, łamie łańcuchów ogniwa,  
I z hasłem: naprzód! leci w krainę jasności —  
I Ty powtarzaj zawsze to hasło młodości!

Miłość — jest to najpierwsza młodości wybranka;  
W tęczęwskiej zawsze staje przed nią aureoli.  
W szczęściu jest słońcem samem, pociechą

[w niedoli.

Nie ziemi wstępną dziecię — to Niebios zesłanka,  
Dwa serca na wieczystą wiążąca zażyłość —  
I Ty kochaj, miłością odpowiedz na miłość!

Poświęcenie — żałobne zawsze nosi stroje,  
Ale idzie z Nadzieją, Miłością i Wiarą.  
Nie żądając ofiary, samo jest ofiarą.  
Dla innych mając myśli, łyzy i serce swoje,  
Samo się własnej duszy otacza promieniem —  
Więc i Ty, gdy trza będzie, nie gardź poświę-

[ceniem!...

Mieczysław Głusiński.

# BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

Gdy ludzie Zborowskich powrócili z niczem do obozu, marszałek nadworny uniósł się niezmiernym gniewem, na Zamojskiego i natychmiast kazał wezwać do siebie brata swego, po-

czasowego koronnego, który również nie posiadał się ze złości, usłyszawszy o niefortunnym ukończeniu wyprawy.

Z rana, gdy Jazłowiecki ich odwiedził, zastał marszałka chmurnego jak noc, Krzysztof zaś chodząc po komnacie i kłął jak poganin.

Podczaszy koronny był wysoki i wspaniałej postaci, jak wszyscy w tym rodzie; rysy jego oblicza miały coś w sobie sepięgo, a czarne brwi schodziły się niemal w jedną linię na wyniosłym czole, na którym namiętności porysowały już głębokie bruzdy. Cała jego natura zuchwała i posępna, przypominająca drapieżnego ptaka, malowała się w spojrzeniu wiecznie niespokojnym i pełnym błyskawic. Jeśli wszyscy Zborowscy byli gwałtowni i burzliwi, to w nim obie te właściwości charakteru spotęgowane były do najwyższego stopnia; jeśli wszyscy mieli skłonności do wicherzycielstwa, to on był główną w tym sprężyną. Można by go było nazwać złym duchem całej rodziny a zwłaszcza Samuela, którego pociągnął do zdrady i wtrącił na koniec w przepaść zaguby ostatecznej.

Nosił się zawsze czarno, z cudzoziemska i dlatego gdy mieszkał w zamku swym Cieszybskich, na Pokuciu, lud miejscowy nazywał go „czarnym panem.“ W naturze jego leżały dziwne sprzeczności; chociaż całe życie jego dowodziło, że mało się troszczył o wszelkie sprawy, tyczące duszy, jednakże lubiał się wdawać w dysputy religijne i woził z sobą kaznodziejów, należących do różnych sekt dysydencjonalnych, jak gdyby chciał w którejkolwiek z nich wynaleźć usprawiedliwienie własnych postępów.

Starosta sniatyński, nie wiedząc jeszcze o niczem, stanął u drzwi, zdziwiony, wreszcie odezwał się do marszałka:

— Mości marszałku, cóżto znów zaszło nowego, że widzę obu waszmościów w takiej alteracji?

Marszałek nie odpowiedział i ani się poruszył. Jazłowiecki zdziwiony, zwrócił się do podczaszego:

— Mości Krzysztofie, czy powiecie mi wreszcie o co idzie? Widzę, że marszałek gniewny, wy zaś klniecie na czem świat stoi, ale dotąd nie wiem z jakiej przyczyny?

Za całą odpowiedź podczaszy rzucił nowe jakieś przekleństwo przez zęby, a marszałek porwał się z krzesła, aż je wywrócił:

— Co się stało? — krzyknął, uderzając pięścią w stół. — Oto, że ten przeklęty Zamojski, wiecznie w drogę wchodzi, że nie da nam nic zrobić, że z jego przyczyny wszystko czarci porwał! że wreszcie ta ziemia dwóch nas nosić nie może, i albo jeden albo drugi musi kark skrócić!

— Wiem to wszystko, — odrzekł Jazłowiecki, spokojnie podnosząc krzesło, — ale cóż nowego zrobił?

— Nie pytajcie, bo wściekłość mię ogarnia, gdy to sobie przypomnę! — zawołał marszałek, zgrzytając zębami.

Jazłowiecki zbliżył się do Krzysztofa, wciąż klnącego:

— Mości Krzysztofie, — rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu, a kiedy już tam nareszcie wyekspensujecie całą swą artylerję? Czekam, czekam i niemogę się doczekać. Usiądę tu, a wy tymczasem dajcie sobie folę, skoro zaś wszystkie przekleństwa wyrzucicie, wtedy pogadam co takiego Zamojski zrobił.

To rzekłszy, usiadł spokojnie pod oknem. Krzysztof, choć chciał się dalej złościć, nie mogąc się jednak powstrzymać, zaśmiał się na te słowa.

— Na Bachusa! — zawołał, — chociażem zły, jak dyabeł, jednak potrafiłście mię rozśmieszyć, mości starosto!

— Mylicie się, mości podczaszy, — rzekł Jazłowiecki, nie tracąc powagi, — wcale nie rzekłem tego, by was rozśmieszyć; uczyniłem tylko to, co zwykły robić człek rozsądny, gdy się znajduje pomiędzy waryatami, — czekałem spokojnie aż paroksyzm przemienie.

— Czy to żart? — rzekł żywo Krzysztof obruszony.

— Widzę jednak, — kończył Jazłowiecki spokojnie, — że zły ze mnie medyk, bom sądził, że paroksyzm przeminał, skoro on ponoś trwa jeszcze.

— Ej, z wami starosto nigdy nie wiesz, czy śmiać się, czyli się gniewać, — zawołał podczaszy. — Nikt nie pozna kiedy mówicie żartem a kiedy seryo.

— Bądźcie pewni, że zawsze mówię poważnie. Dwóch nas tylko rozsądnych w całej partyi naszej pozostało: ja i pan Gnieźniński; cóżby było gdybyśmy i my zapomnieli o powadze? Już i tak ludzie gadają, że cały rozum poszedł do koła czarnego, — niechże choć powaga zostanie.

Mówił to z takim umiarkowaniem i spokojem, że ani marszałek ani podczaszy nie śmieli się zdobyć na odpowiedź. Podczaszy przygryzł tylko usta i udając, że bierze wciąż za żart wszystkie te ostre prawdy, począł spokojniej już opowiadać całą przygodę z wykradzeniem prymasa.

Jazłowiecki wysłuchał do końca i rzekł wreszcie:

— Choćby się nawet udało przedsięwzięcie, to niewielki zysk byłby z tego, prymas bowiem jest człowiekiem upartym a słabej woli i liczyć na niego nie można. Teraz jednak trzeba się spieszyć i obmyśleć jakowyś środek zapobieżenia zamiarom Zamojskiego, bo widzę, iż myśli tak nacisnąć starego prymasa, by w tych dniach, pomimo naszej woli, ogłosił elektem królewicza szwedzkiego.

— Nie będzie śmiać! — zakrzyczał marszałek gwałtownie. — Pokąd ja żyję, nie dopuszczę tego!

— Czy znowu chcecie z armatami iść na senat? — spytał Jazłowiecki, śmiało patrząc mu w oczy. — Uprzedzam was, że to, zamiast nam pomódz, do reszty by tylko obrzydziło naszego kandydata. Do onej chwili jeszcze miał nadzieję, iż pozyskam szlachtę podolską dla naszej sprawy, lecz od tej pory straciłem zupełnie mir między nimi. Nie dziw też, że co uczciwszego przechodzi koło czarne, bo nasz obóz słynie tylko z niekarności, gwałtów i pijaństwa. Wasi Morawczycy, mości Krzysztofie, to lotry skończone, które tylko rabować umieją a w bitwie jestem pewny, że tył podadzą...

— No, toście prawdę rzekli, starosto, — odrzekł podczaszy, — sam ja widzę, że z nich nie wielka pociecha. Ale za to na niemiecką piechotę pana Górki, chyba nic nie powiecie, bō to lud dobrany; brat Andrzej ma także parę dzielnych pułków, a wasza jazda jest sprawna i wyćwiczona, przyjrzałem się jej dobrze w onym dniu, kiedy stała naprzeciwko hufcom Zamojskiego. Macie dobrych rotmistrzów i oficerów...

— Tam u nas na pograniczu muszą wciąż prawie stać pod bronią, więc nie dziwnego, że przywykli do sprawności i pospiechu, — odrzekł Jazłowiecki, nie okazując po sobie, że mu owa pochwała sprawiła przyjemność pewną. Nie próżnowali oni dotąd nigdy, wciąż czyniąc podjazdy i wyprawy na Tatara i teraz boję się, by w tej długiej nieczynności nie rozprzegła się karność wśród żołnierzy. Ale myślę, że już teraz chyba się to skończy niedługo.

— I ja tak samo myślę, — odrzekł podczaszy. — A jak wam się zdaje, możeby najlepiej było, jak ów radził, mnie okrzyknąć królem? Co? Ot, byłaby dopiero mądra elekcyja!

To mówiąc, sam zaczął się śmiać głośno.

— Jakże tam, — dodał po chwili, uspokoiwszy się, — czy zawsze wojewoda poznański zły na was za to, że wasi żołnierze poturbowali tam kiedyś jego ludzi?

Jazłowiecki machnął ręką pogardliwie:

— Mało mię to obchodzi, czy jest zły, — odrzekł. — Chciał koniecznie bym dochodził, która z moich chorągwi to uczyniła, tak jak gdybym miał czas zajmować się teraz podobnymi sprawami. Zresztą skoro tamci napadli na dom szlachecki i sprawiali się tam po tatarsku, to wcale nie mam za złe moim, że im dali naukę jak należy.

— A teraz może pójdziecie ze mną do kasztelana Kamienieckiego? — rzekł, wstając.

— Z miłą chęcią,—trzeba się nam naradzić wspólnie, co czynić wypada,— odrzekł podczaszy.

Obaj wyszli razem. Po drodze starosta sniatyński, spotkawszy jedną ze swych chorągwi, powracającą z musztry, zatrzymał ją, chcąc dać jakieś rozporządzenie prowadzącemu ją oficerowi, którym był pan Jan.

Podczas gdy Jazłowiecki wydawał polecenia, podczaszy przyglądał się okiem znawcy stojącemu hufoowi i zarówno podobał się mu dzielny, wojskowy wygląd całej chorągwi, jak i sam młody jej dowódca, który, po otrzymaniu rozkazów, skłoniwszy się, chciał odejść, i już właśnie miał wsiadać na koń, gdy nadbiegł Górka, czerwoną, zasapaną i widocznie zły.

— Mości starosto,—zawołał do Jazłowieckiego,—doszedłem już nareszcie kto był winowajcą w sprawie pobicia moich żołnierzy koło Wąchocka, oto ten oficer, który tu stoi. Wielce mi rad temu, żem go tu zastał, bo teraz przynajmniej wszystko zostanie na jaw wyprowadzonym a waszmość będziesz musiał sprawiedliwość wymierzyć.

Starosta zwrócił się do pana Jana i zapytał go, lekko brwi ściągając:

— Więc to ty zrobiłeś?

— Tak, ja, panie starosto,— odrzekł ten, patrząc śmiało prosto w twarz wojewodzie. — Na dom mego stryja napadli nocą rabusie, w chwili gdy wyjechał na elekcyę—nabawiając śmiertelnej trwogi pozostałą rodzinę i domowników;—lecz szczęściem znajdowałem się w pobliżu z moją chorągwią i rozpedziłem ich; zdaje się, że kilku nawet zabitych czy ranionych zostało na gościńcu, podczas gdyśmy ich ścigali;—lecz to nie byli, to nie mogli być żołnierze wojewody poznańskiego, pierwszego senatora Rzeczypospolitej,—i kiedy mi to twierdzili, powiedziałem im, że kłamią! — dokończył z okiem iskrzącym.

— Co waś się wykręcasz? wołał wojewoda rozłoszczony.

— Tak, powiedziałem im, że kłamią, bo żołnierze wojewody poznańskiego, nie mogą być zbójcami i hultajami, a gdyby nawet się dopuścili czegoś podobnego, to wojewoda nie broniliby ich, lecz surowo ukarał za napad na dom spokojnego i szanownego obywatela, którego bodajby jego starości i zacność powinna była uchronić od takiej zniewagi.

— Waś się ośmielasz dawać mi nauki!—krzyknął wojewoda, czerwony z gniewu z zaciśniętymi pięściami.—Ja cię w proch zetnę!

— Nauk nie daję, bo jestem pewny, że nie posłużyłyby do niczego,— odrzekł pan Jan, nie spuszczać oczu pod jego rozwścieczonym spojrzeniem;—ale i groźb się nie lękam,—dokończył z przyciskiem.

— Panie starosto, czy nic nie powiecie na to?—zawołał wojewoda.—Słuchacie spokojnie jak wasz podwładny, chłystek, szaraczek jakis śmie obrażał w waszej obecności, senatora!

— Panie wojewodo,— odrzekł Jazłowiecki spokojnie,—pierwej postarajcie się ochłonać nieco, a wtedy będziemy mogli mówić. Wy byście raczej powinni ukarać swoich ludzi za to, że po tatarsku sobie poczynali w szlacheckim domu, bo jeśli nadal tak czynić będą, zohydzą naszą partyę w oczach zacniejszych obywateli i wszyscy od nas się usuną.

— Bronicie go jeszcze!—zawołał wojewoda!—Bronicie, kiedy niedość tego co zrobił jeszcze mię hardością obraża!

— Nie bronilibym go, gdyby niesłusznie postąpił, ale w tym razie i sam bym nic innego nie uczynił a możebym nawet trochę lepiej poturbował waszych żołnierzy, żeby drugi raz odechciało im się na dwory szlacheckie napadać.

Podczaszy zaśmiał się na te słowa, a Górka, wściekły z gniewu, zawołał:

— Będę ja pamiętał dobrze, żeście na moje słuszne żądanie żartami odpowiedzieli!

— Panie wojewodo, po co mamy z siebie czynić widowisko dla gawiedzi, która z ciekawością patrzy, jako dwóch panów najpierwszych w Rzeczypospolitej imion, kłócą się jak pierwsi lepsi mieszczanie na rynku? — rzekł Jazłowiecki

półgłosem, wskazując na ciurów obozowych, którzy zdala stanawszy, poczęli się gapić.

— Co mi tam! Nie dbam o tę hołotę! — odparł wojewoda.—A tego swego ulubieńca strzeż waszmość dobrze,—niechaj dziękuje Bogu, że znalazł taką opiekę, bo inaczej zapłaciliby mi za wszystko!

To rzekłszy, nasunął czapkę i odszedł szybkim krokiem w stronę swojego namiotu.

— Pojmuję ja to dobrze, że inaczej nie mogłem postąpić,— rzekł starosta sniatyński do pana Jana,—ale wojewoda poznański jest zaciekły, gdy go kto zadrasnie i nie zwykł przebaczać uraz.

— A jednak gdybym drugi raz znalazł się w tem samem położeniu, nie cofnąłbym się z obawy jego gniewu, chociażby nie szło nawet o moich blizkich...

— I ja bym ci tego wcale nie miał za złe, bo wojewodzińscy żołnierze, to są hultaje, którym należy się dobra nauczka. Powiedziałem ci to tylko, abyś się miał na baczności,—jakkolwiek i moja opieka także coś znaczy,—dokończył Jazłowiecki dumnie.

— Ale waszmość jesteś śmiałego serca, żeś się nie zląkł tych oczu, ziejących żarem piekielnym ani tego głosu zgrzytliwego,—ozwał się podczaszy, który stał dotąd na boku i przysłuchiwał się wszystkiemu.

— Trudno mi było złąknąć się człowieka, który mi ledwie do pasa sięga,— odrzekł pan Jan z uśmiechem.

— Ba, złości w nim więcej, niż w największym olbrzymie,—odrzekł podczaszy.

Podczas gdy to mówił wszystko, wzrok jego nie odrywał się od twarzy pana Jana, który czuł się tem trochę zmieszany i chciał się oddalić, kiedy Krzysztof Zborowski rzekł nagle:

— Nie pytałem waści czyś synem starosty zakroczymskiego, boś tak do niego podobny, że odgadnąć to łatwo z oblicza i postaci.

— Tego nie wiem, panie podczaszy,—odrzekł pan Jan, który zwykle czuł się wzruszonym, gdy słyszał co o ojcu,—byłem jeszcze dzieckiem małym, kiedym ojca mojego widział po raz ostatni.

— Biedak,—niedługo jakoś, po przybyciu do Ołomuńca chwyciła go dziwna jakowaś tęsknota i niemoc i we trzy miesiące zmarł, choć był w sile wieku i niedawno jeszcze przedtem, nie było konia tak dzikiego, którego by nie dosiadł.

Pan Jan słuchał z dziwnym wzruszeniem i chęć go brała zapytać jeszcze o niejedną szczegół z życia ojca, które mu było prawie zupełnie nieznanne, lecz podczaszy zwrócił się tymczasem do pana Jazłowieckiego i począł z nim rozmawiać o obojętnych rzeczach, nie patrząc już na niego wcale. Skłonił się więc i odjechał do czekającej nań w pobliżu chorągwi.

Już to nie pierwszy raz spotykał się on z podczaszym koronnym, o którym słyszał wiele, jeszcze w Sniatyniu, na dworze pana Jazłowieckiego, zkąd niedaleko znajdował się ów zamek Krzysztofa, Cieszybiesz, kędy wjeździł on niedługo gospodarza wołoskiego. Lud na Pokuciu wciąż jeszcze opowiadał o „czarnym panu“ chociaż ten już od kilku lat nie pokazywał się w tych stronach. Jednakże pan Jan znalazł go innym, niż go sobie wyobrażał, a raczej podczaszy ujął go tem, że mówił mu o ojcu, i dotąd skłonny był sądzić jego życie daleko pobleźliwiej, aniżeli dawniej.

Wkrótce zabrał znajomość z paru osobami, należącymi do dworu podczaszego, między innymi z jednym starym rotmistrzem, panem Turuskim, który niedługo znajdował się przy boku Samuela i towarzyszył mu na Niż, ten opowiadał mu także wiele o ojcu. Tak spotykał na każdym kroku jego wspomnienie; na dworze obu panów Zborowskich nie było prawie nikogo koby go nie znał, a każdy wyrażał się o nim, jako o dzielnym rycerzu! który wiele razy odznaczał się niepospolitem męstwem. Wprawdzie nie przeciono temu, że był trochę dziwakiem i nie podobnym do innych ludzi, ale syn tłumaczył to sobie żalem po śmierci matki.

Nie raz, dawniej, gdy dzieckiem jeszcze pytał o ojca, odpowiadano mu wiele znaczącem milczeniem, lub też zbywano krótko. Tu każdy przeciwnie nie wzbraniał się mówić o nim, a mówił tylko z pochwałą.

Stary rotmistrz opowiadał o swej słynnej podówczas wyprawie na Niż, przedsięwziętej przez pana Samuela Zborowskiego; jak przeprawiano się przez porohy Dnieprowe, czego wielu ze szlachty tak się zląkło, że powróciło z drogi.

— Bo dużo bardzo śmiałków towarzyszyło panu Samuelowi,—mówił rotmistrz,—i nie jeden tam kości swoje zostawił, w czasie owej ciężkiej wyprawy na Wołoszę. Wszystko to pan Paprocki pięknie opisał i wydał w Krakowie, nie jedak rzecz z moich ust usłyszawszy, bom tego zakosztował i niemało nawet biedy się nacierpiałem na owej przeklętej Wołoszy, gdzie trza było nieraz jeść kopyta ze zdechłych koni, by z głodu nie zginąć.

Panu Samuelowi zachciało się tej wyprawy, choć cała starszyna Niżowa stawiała opór temu zamiarowi i parę razy życie jego było w niebezpieczeństwie, bo przebojem chciał wymóżyć u nich posłuch. Dziec to jeszcze okrutna i żaden ich hetman nie ginie swoją śmiercią; więc też i na pana Samuela rzucali się całym tłumem i raz nawet ojciec wasz, poruczniku, był raniony w podobnem starciu, gdy sam jeden chciał przeciw nim go osłonić. Został przez nich zwany: „Nawizony“, za szaloną odwagę; dnieprowe porohy przebywał na wątlej czajce, tam gdzie ledwie najśmielsi mołojce odważali się przeprować i z czterma nie zawahał się potykać. Pan Samuel też bardzo go cenił za to, a my wszyscy szanowaliśmy go, choć był nieco dziwacznej natury i z nikim bardzo się nie przyjaźnił.

W Inflanckiej potrzebie także byliśmy razem i tamto nieraz w moich oczach dokazywał. Przy szturmie do Wieliza, pierwszy wdarł się na szanice płonącej twierdzy, za co go nawet sam pan Zamojski pochwalił.

Pan Jan z uniesieniem przysłuchiwał się tym opowiadaniom; w oczach jego ojciec urósł na zapoznanego bohatera; świat cały byłby chciał zmusić do oddania mu słusności. Z dwojona czią i uwielbieniem pragnął pamięci jego wynagrodzić ów czas, kiedy nie oddawał jeszcze należnej sprawiedliwości wielkim jego przymiotom. Wszystkim otaczającym go ludzom, mimo, że w innym razie nie zamykałby oczu na ich nie zawsze chwalebne sprawy, teraz gotów był wiele przebaczyć, za to iż szanowali jego ojca. Dawne wspomnienia tymczasem zacierały się i bladły pod nawałem nowych wrażeń, które chwyciły go, obejmowały i unosiły kędyś z sobą....

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Ruch niewieści w Galicyi,

przez

Janinę S. Aleksotę.

Ruch tak zwany kobiecy w roku obecnym skoncentrował się w gorliwej, spokojnej pracy około własnego kształcenia się. Ogniskami głównemi tej pracy jest uniwersytet, obok zaś uniwersyteckich wykładów, na które w wydziale filozoficznym i przyrodniczym uczęszczają wspólnie słuchaczki ze słuchaczami — istnieją i w tym roku kursa akademickie, urządzone specjalnie dla kobiet, a to dla ułatwienia wstępu wszystkim chciwym wiedzy, chociażby nie posiadały wymaganych przy opisie na ogólne wykłady kwalifikacyi, to jest dla zwyczajnych słuchaczek matry gimnazjalnej; zaś dla nadzwyczajnych egzaminu wydziałowego nauczycielskiego. Obok tego z przykładną gorliwością uczęszcza kilkadziesiąt nauczycielek na wykłady przygotowane do egzami-

nów wydziałowych, urządzone w lokalu czytelnicy dla kobiet, przez ruchliwe i z wielką sumiennością popierające interesy nauczycielek Stowarzyszenia nauczycielskie lwowskie. O dolę nauczycielek prowincjonalnych troszczy się Wydział tego Stowarzyszenia, ile tylko w jego mocy leży, dla przyjezdnych ma pomieszczenie za nader niską cenę, co w obec bajecznie niskich płac nauczycielskich w Galicyi — jest prawdziwym dobrodziejstwem; — kołace o udzielanie prowincjonalnym nauczycielkom urlopów w celu umożliwienia im przygotowania do egzaminów we Lwowie, ale kołace o to dość długo, niestety, dotychczas bezskutecznie. Kto zna niedolę naszych nauczycielek wiejskich, ten zrozumie, jak uciążliwym jest dla nauczycielki wiejskiej przygotowanie się do egzaminu, w obec braku podręczników i całodziennego zajęcia w szkole. Rada szkolna wszakże nie spieszy z ułatwieniami; dlaczego i w obec czego? Trudna odpowiedź, chyba w obec nadmiernej liczby nauczycielek. I kiedy wszędzie daje się odczuwać brak pól zajęć i pracy kobiet, zapewniającej utrzymanie jednostce danej a częstokroć jej rodzinie, kiedy kobiety z całą powagą i głębokim przeświadczeniem potrzeby gruntownego wykształcenia zawodowego oddają się nauce odzywają się głosy, które niedawno narobiły nieco hałasu. Byłyby te głosy znalazły nieco więcej rozgłosu, ale nie miały tyle nawet korzeni ażeby wrósł nimi w grunt, rodzący sławę herostratową. Oto niedawno w czytelnicy katolickiej przy drzwiach zamkniętej, nieprzypuszczając, by słowa rzucane mogły dostać się do prasy, wystąpili dwaj przeciwnicy ruchu kobiecego a to nietylko skrajnego ale i najuczciwszej, najbardziej odpowiadającej powołaniu kobiety pracy: nauczycielskiej. Przeciwnikami tymi ogłosili się: p. Mieczysław Baranowski i ks. Gnatowski. Wrogię ich usposobienie w obec kwestyi kobiecej datuje się od niedawna. Książd Gnatowski zawsze się chętnie popisywał swą wymową w Czytelnicy dla kobiet i głosił się jej przyjacielem, jak również zwolennikiem żeńskich pensjonatów gdy nagle jednej drugich ogłosił się wrogiem. P. Baranowski, który powiększał wciąż liczbę nauczycielek we Lwowie, przyjmując dwa razy tyle praktykantek ile potrzebowały ich szkoły żeńskie lwowskie, skutkiem czego nastąpiło nawet głośnie przed trzema laty oddalenie praktykantek — nagle również ogłasza się przeciwnikiem wszystkich zajęć kobiety, prócz pracy domowej. Nie chce zupełnie widzieć kobiety zajętej jakąkolwiek pracą zawodową. Potępia w czambuł wszystkie uniwersytety, przedstawia życie słuchaczki akademii w jak najgorszym świetle pod względem moralnym, chociaż zna je aż nadto pobieżnie, z przelotnego widzenia. P. Baranowski uważa ruch emancypacyjny za zamach na katolicyzm, w czym prelegenta popiera ks. Gnatowski. Mówiąc o zagranicy przechodzi i do naszych stosunków, twierdząc, że jakkolwiek u nas na pozór kwestya kobieca nie istnieje (?) to przecież jest to tylko pozór. Wrazami emancypacji ma być wedle prelegenta Czytelnicy dla kobiet i „Ster“ (czasopismo) który od pół roku umarł i jest pogrzebion. Dziwna rzecz, że prelegent pominął „Ognisko kobiet, na którym już raczej prędzej mógł z jakiejś analizy spektralnej dostrzedz barwy feministycznej aniżeli na spokojniuteńkiej Czytelnicy dla kobiet, której treść istnienia stanowią nie często się odbywające odczyty, biblioteka, czasopism snopek dość pokaźny, że dwa, czasem trzy doroczne obchody uroczyste i opłatek a wreszcie „święcone.“ Warszawę pod względem emancypacyjnym obskubał prelegent także z piór... ale tylko... powtarzamy to jeszcze raz — przy zamkniętych drzwiach, nie przypuszczając, że się znajdzie sumienny, młody człowiek, dziennikarz, który powie wszem w obec i każdemu z osobna, że w Ewangelii wyraźnie napisane jest, ażeby światła pod korcem nie ukrywać. A gdy wszystko wywłócił na forum, te z kobiet, którym ogół i najzawziętsi nieprzyjaciele ruchu kobiecego przyznają rzetelne zasługi, nie tały wcale tego, że treść prelekcji p. Baranowskiego znają, wtedy prelegent zaczął się tłumaczyć iż tak nie myślał, jak to dzienni-

ki podały, że zresztą gotów jest dla rekompensaty mieć odczyt „O nowoczesnych dążnościach kobiet“ w Czytelnicy dla kobiet. Propozycja ta wszakże została przez wydział odrzucona a niektóre z pań nie tały zdania swego, iż się ani z opinią wypowiedzianą przez prelegenta ani z nim samym nie liczą.

Wychowanie kobiet przedstawia prelegent jako najwyższej stojące w Szwajcaryi. Jedynym racjonalnym punktem całej prelekcji było żądanie, by dążono wszelkimi siłami do zakładania szkół specjalnie zawodowych, rękodzielniczych i przemysłowych dla kobiet. Całe *resumé* prelegenta przedstawia się w ustępujących punktach: a). Przedewszystkiem kobieta jest dla domu i rodziny; b). Należy koniecznie ulepszyć w celu powyższym, wychowanie dziewcząt. c). Kształcić praktyczniej a naukę dopełnić. d). Występować przeciw równouprawnieniu kobiet w urzędach i przeciw przyznaniu praw obywatelskich. — W ogóle cała prelekcja traktuje kobiety jako niedorostki. Na tem to tle ks. Gnatowski rozwinął swoją retorykę i swobodę traktowania sprawy kobiet, chociaż się ciągle zastrzegał przeciw wynoszeniu tej jego opinii poza mury, w których mówił. Szczególniej nie podobały mu się gimnazya żeńskie, uważa je za wyraz mody, również jak i kursa akademickie, wyrażając nadzieję, że za parę lat spowszednieją — a na razie radzi nie przeszkadzać, sam zaś woła: „Niech im Pan Bóg błogosławi i rozumy ich oświeca“ — mówiąc o kobietach.

W ogóle chyba trzeba brać tę replikę ks. Gnatowskiego za wyskok dobrego humoru, żądaniem względami nie hamowanego. Niektóre pisma zwalczały te opinie, inne przeszły nad niemi do porządku dziennego. Wracając do ruchu Stowarzyszeń kobiecych, a łącznie z kwestyą szkół zawodowych dla kobiet podnieść należy zasługę krakowskiej Czytelnicy dla kobiet — która zaprowadziła u siebie kurs stenografii dla pań. Ogół towarzystw kobiecych, obok zwyczajnych zajęć swych przygotowuje uroczysty obchód setnych urodzin Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Rzecz słuszną i piękną a przytem będzie to znakomita sposobność nietylko do obszernego spopularyzowania wiadomości biograficznych Tańskiej, lecz zarazem przedstawienia początku ruchu kobiecego w Polsce, jego przebiegu, jak również, okazania ogółowi obrazu wychowania dziewcząt u nas od czasów Tańskiej — a niektórym malkontentom przy tej sposobności będzie można przypomnieć, jak to kwestya kobieca, jest wynikiem życia jego wymagań i potrzeb i nie jest także niepotrzebnym wyskrobkiem nowo upieczonej bułki, lecz że już przed laty kilkudziesięciu stała na tym punkcie, z jakiego najnieśluszniej zesłała i cofnęła się. Hoffmanowa przecież była wizytatorką i inspektorką szkół żeńskich — a u nas dziś hałasu wiele uczyniono, o wybranie jednej, jedynej delegatki dla spraw szkolnych do Rady krajowej. Czy się obrana przez kobiety delegatka utrzyma, niewiadomo, gdyż niezadowoleni protest zanieśli do władz wyższych. Co będzie w ogóle?

*Videremo* a tymczasem z przyjemnością konstatujemy, że kwestya kobieca nie ma u nas nic hałaśliwego, ani popisowego, ani nic z owego dekadentyzmu, który się jako anemia mózgu i duszy przejawia wszędzie niemal a w sztuce i literaturze najbardziej — lecz przeciwnie nosi na sobie cechę rozważnej, pełnej głębokiego przekonania potrzeby pracy, z wydoskonaleniem należytem i pożytkiem ogółu. Dążności tak uczciwe i poważne, zasługują ze wszech miar na uznanie i popieranie. Nic dziwnego, że coraz więcej zwolenników zyskuje kobiety dla swej pracy rzetelnej a koniecznej, która ani demoralizuje, jak twierdzili preopinanci z Czytelnicy katolickiej — ani dla zabawki jest przedsięwzięta — lecz przyczynia się do dążeń i ogromu pracy społecznej a kobietę utwierdza na piedestale jej godności osobistej.

Wydano wyborną encyklopedyę dla ludu wiejskiego i miejskiego w dwóch dużych tomach. Użyteczne to wydawnictwo, bajecznie tanie (całe

dzieło 1 złr. 50 cent.) zawiera zbiór najpotrzebniejszych wiadomości ze wszystkich gałęzi wiedzy i może stanowić bardzo dobry podręcznik w domach średniozamożnych, których nie stać na wielkie, kosztowne encyklopedye. Warto polecić to wydawnictwo.

## TEATR.

Ogniwa, sztuka w 4-ach aktach, Kazimierza Zalewskiego.

Jesteśmy w pokoju uczonego. Wagi i wazki, słoiki i słoje, palące się lampki spirytusowe i inne przedmioty służące do badań naukowych, wskazują nam pracownię chemiczną. Andrzej Kroński idzie śladami Pasteura, jest na drodze do wynalazku, mającego uszczęśliwić ludzkość.

To jego żywioł.

Taki człowiek, poślubiwszy życie swoje nauce, o innych ślubach, w które płacze się inne życie i szczęście drugie — myśleć nie powinien. Dwom bogom służyć nie można, a jeśli kto podwójną tę służbę przyjmie, powinien dobrze siły swoje zbadać, by godnie wszystkim obowiązkom odpowiedzieć. Dla czego się Andrzej Kroński ożenił, nie kochając się i nie kochanej, z osobą znacznie młodszą od siebie — odpowiedzi w dramacie nie mamy. Odpowiedź zresztą byłaby zbyt techniczną... Tak było, nie dlatego, że tak autor chciał, ale dlatego, że tak bywa w życiu, szczególnie w życiu uczonych. Przychodzi chwila jakaś, w której na mgnienie powiek, odemawszy się od prac swoich, pragną zwykłym, ludzkim powietrzem odetchnąć, przepelionem zapachem róż i fiołków. Ci ludzie rozumy i logicznego myślenia w sprawach, sercowych mniej od żaków doświadczenia mają. Idą za pobudką chwili, za głosem samolubstwa, o sobie tylko myśląc i dniu dzisiejszym. Nasycają się wonią kwiatów, nie już ich jego los nie obchodzi. Mają przed sobą cel wyższy, nieraz dobro całej ludzkości. Z uśmiechem pogardliwej litości patrzą na ofiarę swojego egoizmu, nie chcąc, nie mogąc zrozumieć, że kwiat każdy potrzebuje ciepła i słońca, opieki i tkliwej ogrodnika ręki.

Andrzej Kroński był jednym z tych uczonych samolubów. Dążąc do sławy, w nauce widząc jedyny cel życia — był prawym człowiekiem, lecz mężem młodej i pięknej Walentyny nie był. Ona, zwyczajna kobieta, nie wychodząca za granicę zwykłych śmiertelniczek, rozumem, ni wiedzy obszarem nie dorosła mężowi — nie miała czem życia wypełnić, które do niej gorącym tętnem własnej jej krwi przemawiało. Miała wprawdzie syna — i kochała go... lecz jako dziecko *swoje* tylko.

Po latach kilku pożycia między nią a Andrzejem musiał chłód powiać. Znalazł się mężczyzna jakiś, mniej dbający o uszczęśliwienie ludzkości, niż Walentyny samej i — ona oddała mu się. Porzuciła dom męża, małego Stefanka, wyjechała z kochankiem, by z czary życia spić co jeszcze spić się dało. Ulubieniec Walentyny nie był także człowiekiem wolnym — miał żonę i również syna.

Andrzej, obojętny na wszystko, co go otaczało, z wyjątkiem rozmnażających się w bulionie bakcyllusów — ucieczką żony został głęboko dotknięty. Zabolala go — miłość własna, kochał jeszcze — prawda! Stefanka, — zaniepokoił się więc o czyste imię syna, o honor — dziecka. Rozgłosił przed światem i przed synem własnym, że żona jego z powodu choroby nerwowej musiała dom jego opuścić i znajduje się w domu obłąkanych.

Walentyna po roku szalu zatęskniła do syna. Prosiła męża o prawo powrotu i Kroński się zgodził. Lada chwila dom mężowski przestąpił grzesznica — on wie o tem, lecz w twarzy jego nie widać niepokoju oczekiwania, nie myśli

nawet jak ma powitać tę żonę swoją i matkę dziecka. Oko jego wciąż się zbliża do szkieł mikroskopów; przypatruje się cieczo, zajęty całą ważnością swych badań nie myśli, że oto może za progiem, z drżeniem serca, z czołem bladym stoi wahająca się i niepewna — matka.

O tem, cośmy powyżej powiedzieli, dowiadujemy się z ciągu sztuki. O przeszłości Walentyny wspomnieliśmy teraz dlatego, ażeby później nie przerywać toku opowiadania.

Rzecz się rozpoczyna od obojętnego oczekiwania na żonę. Akt pierwszy wypełnia się tem oczekiwaniem, odprawieniem przez Krońskiego całej służby, która świadkiem być mogła romansu pani, długim a nużącym dyalogiem między Andrzejem a doktorem Wiktorem, przyjacielem Krońskiego, i — przybyciem Walentyny.

Doktor w rozmowie z Andrzejem — wyrzuca mu cynizm i — okrucieństwo. Nie szczędzi mu nawet nazwy kata, widzi chęć zemsty w danem żonie pozwoleniu powrotu do siebie, lecz z odsunięciem jej od siebie i praw żony. Zdaniem doktora miał Andrzej do wyboru trzy drogi: wyzwąć uwodziciela żony na pojedynek i zabić go, lub zostać zabitym; wyrobić rozwód żonie swej i gachowi, i w ten sposób ich uszczęśliwić (pytanie: coby powiedziała żona gaszka?), albo, jeżeli zgodził się na powrót, to już bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych odtrącań, bo w ten sposób nieszczęśliwej kobiecie piekło gotuje i życie mężarni prawdziwej.

Zaprzeczyć nie możemy, że słowa doktora są piękne — lecz potrzeba także mieć wzgląd i na naturę ludzką, która przebaczać może wiele, lecz nie wszystko. Walentyna zatęskniła za synem, chciała powrotu dlatego tylko syna — i Andrzej się zgodził. O dalszych ustępstwach nie myślał i za złe mu tego nie bierzemy.

Jedną z najpiękniejszych scen w całej sztuce jest wejście pokutnicy do mężowskiego domu. — Trwożna, wstrzymała się u progu... Mąż!.. Tak — mąż, oczekujący na jej przyłtycie, otoczył się całym aparatem naukowym i zwrócił się po to, by jej warunki podać, pod jakimi ma prawo przybywania w jego domu:

— „Pamiętaj, że byłaś chorą, cierpiałaś na obłąkanie zmysłów, rok cały zostawałaś w domu waryatów!..“

„To kara!..“ szepce nieszczęśliwa matka i żona, idąc do dziecka.

Upływa lat siedmnaście między pierwszym a drugim, następnym — aktem, od słów kary wyszeptanych przez biedną Walentynę a ładną sielanką miłosną między Stefanem, dorosłym już młodzieńcem, a młodziczką Cecylią. Lat siedmnaście straconych jest dla widza; akt pierwszy więc jest prologiem do dramatu, który teraz właściwie rozegrywać się ma przed nami. Stefan ubóstwia Cecylię, ubóstwia matkę i stawia ją jako wzór do naśladowania. Te słowa kamieniem uderzają w serce Walentyny: tak mści się grzech przemieszania. Te lat siedmnaście były dla Walentyny mężarnią, dla Andrzeja tryumfem na polu nauki, dla Stefana zagadką. On dostrzegł chłód w pożyciu rodziców, odpychanie się wzajemne — nie wiedział tylko nic o przyczynie.

Koledzy i przyjaciele Andrzeja wyprawiają mu bankiet, koledzy i przyjaciele Stefana zapinają jego kawalerstwo.

To akt trzeci. Rzecz się dzieje w gabinecie restauracyjnym. Młodzieńcy spotkali wypadkowo niejakiego p. Kręporzyckiego, obywatela z Galicji, człowieczka głupowatego, w swoim rodzaju doskonałą kreaturę. Szampan się leje, z sąsiednich gabinetów dolatuje śpiew, kompania coraz weselsza się staje, wino tylko rozmarza Stefana a rozwiązuje język galicyjaninowi. Na pół pijany rozpowiada towarzyszącemu przypadkowym historię swojego ojca, który dla pewnej kobiety porzucił żonę i syna a kobieta ta miała syna i męża. Po roku, gnana tęsknotą za dzieckiem, wraca do mężowskiego domu. Mąż ją przyjmuje, ale każe pamiętać jej, że była chorą i rok cały przesiedziała w domu obłąkanych. Opowiadanie to wpada w ucho półpijanego Stefana. Budzi się, świadomość wraca, pyta Kręporzyckiego o imię tej kobiety

i jej syna, żąda dowodu, mówiącego o postępkach męża z powracającą kobietą. Przyparty do muru Kręporzycki mówi, że imię wiarofomnej żony było — Walentyna, syna jej — Stefan, przy sobie zaś od lat siedmnaście nosi list kochanki swojego ojca, list, donoszący o powodach porzucenia dawnego życia i warunkach postawionych przez męża.

Rozpacz Stefana nie ma granic, ryk rozpachy wypada z piersi młodzieńca, który nagle z błękitów runął w kał ziemi. W tej chwili wchodzi Andrzej i dowiaduje się o wszystkim. Żąda od Kręporzyckiego zwrotu fatalnego listu i polecając syna przyjaciółom, spieszy do żony, by zawiadomić ją o wypadku.

Matka do snu się nie kładła, postanowiła czekać na syna. Wraca Andrzej z fatalną nowiną. Co robić? za chwilę przyjdzie Stefan. Ha! grzech wymaga pokuty, pokuta — ofiary. Walentyna na chwilę porzuca męża, każe mu rozmówić się z synem, a sama idzie do pracowni uzonego. Przychodzi Stefan, wraca matka. Syn myśli o samobójstwie, bo ofiara być musi — matka wie o tem, chce tylko, by syn list wzięty od Kręporzyckiego odczytał, ten list go przekona o miłości matki i z życiem pogodzi. Stefan czyta, Walentyna walczy z zażyłą trucizną, bo ofiarą ona stać się musi. Wreszcie, wypowiada ostatnią swą wolę, by syn nie tracił wiary w serce kobiety i połączył się z Cecylią, która wchodzi w tej chwili... Walentyna umiera — zasłona spada.

„Ogniwa“ jako dzieło sceniczne, budową swoją nie dorównują dawniejszym utworom Zaleskiego, jak: „Nasi Zięciowie“, „Friebe“, „Przed ślubem.“ Fabuła za ubogą jest na aktów cztery, dyalogi zawierają dużo pięknych myśli, lecz są za długie, nużą widza i nie mają mocy przekonań. (Rozmowa między Andrzejem a Wiktorem). Myśl w dramacie nie jest wcale nową; wiarofomstwo żony, stosunek matki do syna, wykrycie tajemnicy — konieczność ofiary ze strony kobiety — były omawiane nie raz — i lepiej, dość wspomnieć tu „Pana Januarego“ Marrenowej. Wprowadzenie galicyjanina jest zupełnie zbyteczne i dziwnie niezgrabne, bo na to go tylko autor wprowadził, by mógł Stefan dowiedzieć się o przeszłości swej nieszczęśliwej matki. Nieprawdopodobieństwem zaś jest noszenie przez lat siedmnaście na sercu swoim listu kochanki ojcowskiej. Co to? Czy pamiątka droga? No — nie!.. Świadek nieuczciwości ojcowskiej? — więc się ukrywa.

Akt ostatni przewleka się w nieskończoność z powodu odczytywania listu. List miał upewnić Stefana, że matka go szalenie kochała. A czyż syna nie upewniło lat siedmnaście obcowania z matką? Jeżeli one dla widza stracone zostały, stracone nie powinny być dla Stefana. Rozwiązanie zaś dramatu trucizną, wydaje nam się, w tym wypadku, niemoralnem. Jeżeli po grzechu nastąpiła szczerza pokuta, pokuta trwająca przed lat siedmnaście, to nie niweczy się jej wielkim grzechem samobójstwa. Taką śmiercią nie odkupuje się żadna wina. Walentyna jeżeli była złą żoną, w końcu pokazała się złą chrześcijanką. Śmierć jej nie jest koniecznością, logika wypadków nie wymagała podobnej katastrofy. Co na jej śmierci syn zyskał? — opróżniła ona aureolą czoło umarłej?..

Przeciwnie!

Grzechu nie odpokutowała, bo grzech nowy nowej pokuty wymaga.

Na zakończenie, niewyczerpującego wcale sprawozdania, dodać musimy, że nie rozumiemy zachowania się Andrzeja i doktora w scenie konania Walentyny. Ani mąż, ani syn, ani doktor nawet nie domyślił się, że coś się strasznego z nią stało. Stoją spokojnie, gdy ona ślania się i błędnie, gdy jad śmiertelny rozdziera jej wnętrzności.

Przepysznie wywiązała się z zadania p. Barszczewska (Walentyna) i Nowicki (Stefan). O tych dwojgu tylko artystach wspominać, bo ich tylko role miały pewne wybitne cechy.

Nowa sztuka p. Zaleskiego nie wzbogaciła dramatycznego repertuaru naszego. Dziwne

zaś, że, zawsze prawie, doskonała technika autora „Naszych zięciów“, tym razem sprzeniewierzyła się p. Zalewskiemu.

Kazimierz Gliński.

## PO BŁĘKITNYCH MORZACH.

przez

Stanisława Maszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Na morzu Jońskim.

Sploszony sen z powiek ulata.

W kajucie trzeszczą ściany, lampa i szklanki brzęczą w swej oprawie. Ręce kurczowo chwytają za brzegi łóżka — ciało zatacza jakieś olbrzymie, ukośne kręgi w przestrzeni — lęk ścisła serce, obezwładnia członki. Okropny świat, niby orgia duchów w północ świętojańską, statek drży, jak zwierz konający — zgrzyt, huk... wir... wściekłość!

Noc bez końca, długa, jak cierpienia w czyscu.

Nareszcie ranek wstał pogodny, ale słońce przymglone patrzy smutnie na wzburzone wody i okręt samotny. Trzeba opuszczać kajutę szybko, bo piersi brak powietrza, w głowie zamęt. Jedyną ulgę da wysoki pomost kapitana, gdzie ruch okrętu mniej się odczuwa.

Siedzimy skuleni. Od południa wyje gwałtowny wichur, uderzając w okręt. Jęczą druciane liny, maszty skrzypią, zmęczony statek na bok się kładzie; fala pnie się, rośnie jak góra i potrzęsając grzywą piany w wściekłością rzuca się na pokład, — własną siłą rozbita, opada i ginie w głębinach. Ale nowa ją pomści; już się podniosła i pędzi z podwojoną siłą — nagle statek się zrywa, prostuje, dziób w dół pochyła i roztrąca ją na pianę.

Setki fal ginie, nowe setki zmartwychwstają. Gwałtowność wichru przybiera.

Okręt walczy.

Słońce przyćmione, smutne, zwolna odbywa swą drogę. Niebo, zasnutę mgłą bladą, ma barwę sinawą, zimną.

Płyną długie godziny udręczeń. Ciało słabnie, głowa snuć myśli przestaje, pożywienia przyjąć nie można — duszą, jak ciałem, owłada znużenie bezmierne, wstręt do morza, zniechęcenie do życia.

Resztką sił wracam do kajuty, padam na łóżko. Powieki ciężą, w głowie szumi, kołuje, w uszach już słabnie huk szalonych fal — dusza roztopia się w chaosie.

Ziemi! kawałek ziemi na postawienie stopy!

\*

\*

\*

Gdyby zawsze cierpienia tak się leczyły! Przeszła druga noc męki. Wichur osłabł, fale łagodniej się kładą, słońce śle jasne, pogodne światło.

Ciału wracają siły, dusza wypełnia się otuchą i radością, oczy rozpromienione widokiem niespodzianego obrazu.

Na zachodzie, opodal płynącego statku, pną się ku niebu potężne skaliste góry. Poważnymi liniami zarysowane w błękitach, świecą w słońcu żółtawą nagością; pomiędzy wyszczerbionymi szczytami płaczą się mgły jasne. Niżej po stokach zielone buki i dęby, u skraju nad morzem gaje oliwek i cytryn, poprzerywane białą grupą płaskich domków lub szerokim, suchym łożyskiem potoku.

Patrzmy na Kalabrię.

Kalabria! — Niedostępne góry, ciemne jary i urwiska — rozwalone chaty — połamany wóz na drodze — koń zastrzelony — w cieniu skały siedzi postać czarna, w kapeluszu wielkim i spi-

czastym, z bujnym zarostem, dziko lśniącymi oczyma; za pasem błyszczący nóż wyostrzony.

Takie obrazy budzi w duszy dźwięczne słowo „Kalabrya.“

„Briganto“ już się zmienił w romantyczne wspomnienie. Niegdyś południowe Włochy drżały przed straszną, a mściwą ręką tych odważnych ludzi, którzy pałac i rabując, nie byli pozbawieni pewnych cech rycerskich. Zdarzało się, że bronili słabych, zaopatrywali biednych. Polityca zawierała z nimi pokojowe układy, a wsie opłacały podatki, bo wszelki opór sprawdzał zgubę.

Ciężkie miał zadanie rząd Włoch zjednoczonych. W góry wysyłano całe oddziały wojska, bryganci bronili się zjadle, chowali w lasach i jarach; po długich latach walk i pogoni wystrzelani, wyłapani, zniknęli. Jeszcze żyją w powieściach ludu.

Dzika, romantyczna Kalabrya dziś jest uroczym, cichym zakątkiem południa, dokąd gorączka cywilizacyjna dostaje się po mału, a podróży rzadko się w jej piękne góry zabłąka.

\* \* \*

Łódka przerzuca się z fali na falę, grożąc wywrotem. Kalabryjczycy wiosłują zawzięcie, miarowo, całem ciałem w tył się przeginając; — szczęśliwie wyskakujemy na wybrzeżu w Reggio.

Miasto odwieczne, pamiętające czasy greckie, po gwałtownem trzęsieniu w końcu przeszłego stulecia z gruzów w nowej szacie powstało. Od morza pną się ulice na stokach góry, ku staremu czarnemu zamczysku, nietkniętej średnich wieków spłucznicy. W linii nowych domów nagle wysuwa szczerbate ściany ruina zaniedbana, zostawiona własnemu losowi.

Z kończyny górzystego półwyspu obejmujemy wzrokiem cieśninę Messyńską i wschodnie brzegi Sycylii. Cieśnina sławna od pierwszych już brząsków historii, uwieńczona poezją starych legend — po niej Odysseus żeglował, drząc przed Scyllą i Charybdą. Potwory, miazdzące i polykające nieostrożne statki, dziś nie żyją — a może się przeniosły w inne strony.

Szczególniej wrogą była Scylla, bo łatwo zwabiała żeglarzy. Pierś i głowa śliczna, dziewica, na tułowiu wilka, z ogonem delfina. Ukryta pod skałą wyniosła, gdy zbliżył się statek nieostrożny, łykała go, rycząc z radości.

Dziś tylko skała przegląda się w morzu.

Miała rywalkę w Charybdis, mieszkającej u brzegu Sycylli, naprzeciw — ta zawsze pierwsza usiłowała złowić ofiarę.

Teraz są wiry i prądy w cieśninie, ale niebezpieczeństwa i dla łódki nie ma.

Po ulicy chodzą gromadkami kozy. Potrząsając bródkami, patrzą na ludzi poufale. Włoszki wychodzą do nich, by własnoręcznie udoić mleka. — O węgiel domu wsparty stoi pasterz kalabryjski, postać do obrazu. Żółte sznurowane obcisłe buty, czarne spodeńki do kolan, kurtka ciemno-granatowa, z błyszczącymi guzami, bez rękawów, na piersiach i ramionach lśni koszula śnieżno-biała, w pasie obcisnięta szeroką szarfą. Na głowie płaska czapka granatowa z długim końcem, spadającym ku szyi i plecóm. Stoi wsparty o mur biały, z uśmiechem poważnym na twarzy opalonej, ale pięknej regularnością rysów i lśniącym okiem — w postawie nie dbałej, nogę jedną w tył podniesioną założył za drugą, jakby dla artysty pozował. Czuje, że piękny, że wzrok ciekawy na nim się zatrzymał, ale dumny nie obdarzy obcego natręta spojrzeniem.

Na placu przed starą arcybiskupią katedrą wrzaskliwa trąbka się odzywa. Jakiś włoch czarny, obdarty postawił przenośny kramik z wstążeczkami, krzyżykami, paciorkami, przed nim na ziemi posadził lalkę, z głową i strojem czarownicy. Zbierają się gromadki ciekawych. On znów trąbi przeraźliwie, biega wokoło lalki, kresli figury tajemnicze laską, przemawia z żywymi gestami do czarownicy, jak gdyby ją o co prosił i zaklinał.

Patrzącym iskrzą się szeroko otwarte oczy, ciała pochylone ku przodowi, ręce, zwykle gestykulujące, znieruchomiały — może lalka w tej chwili powstanie, przemówi, lub jaką sztuczkę pokaże?

Nagle sprytny handlarz zachwala przeraźliwie swoje wstążki i krzyżyki...

Cel osiągnięty, publiczność zwabiona!

\* \* \*

Noc czarna kładzie się na morze, bez słońca zachodu. Zawieszono nisko chmury przygniatą duszę, budząc w niej obawę cierpień, burzy. Grube krople deszczu spadają na pokład okrętu.

Uplywa godzina, długa, niepewna. Na zachodzie zabłysło gwiazd kilka, opona chmur się rozdziera, ciemne jej szmaty suną ku wschodowi — potok księżycowego światła srebrem zalewa pomarszczone wody morza. Jak w śnie czarodziejskim wyrastają przed wzrokiem cienie wysokich gór Sycylii, groźne, poważne; wdali u poziomu wód złota wstęga światła w Messynie. Pierś okrętu rozbija drobne fale — umykają w bok, pryskając srebrnych iskieł tysiącem. Wzrok się podnosi ku głębokiemu granatowi nieba — tam w pobliżu księżycy utkwiał Jowisz, wielki, jasny, spokojny, dalej Syriusz błądy i cała rzesza gwiazd, barwami strojna, mruga światłem cicho, tajemniczo...

Dusza roztapia się w srebrnych głębinach wód i nieba...

Malta.

Promyk słońca wkrada się przez okrągłe okienko kajuty, zwiastując dzień piękny.

Na pokładzie cisza. Statek nurza się w lazurowych wodach, pomarszczonych drobną falą, obejmuje nas powietrze, teńjące czystością kryształu, słońce śle strumienie jasności olśniewającej, cieplej...

Oko zwracamy ku północy, szukając ziemi. Tam na skraju morza łamią się linie gór miękkich, jak z kosztownego pluszu, jasnemi szczytami biegnąc ku błękitowi nieba, lub zapadając się głębokim cieniem w jary i przepaście.

Srebrzyste mewy toczą koła ponad okrętem.

Z otworu w pokładzie wynurzył się zczerniały mężczyzna w niebieskiej kurtce; twarz mu się świeci od potu, ręce z oliwy obciera — to maszynista: pragnie zacerpnąć powietrza, rzucić okiem na pogodne morze. — Ale prędko wraca na stanowisko.

Idziemy za nim. Po żelaznej drabince schodzi się w dwupiętrową głębie Sapiąc poruszają się olbrzymie tłoki, które siłą ruchu budzą prąd powietrza, na wsze strony wiją się rury i sztaby żelazne. W tyle, poniżej drugi oddział z ogromnymi piecami, gdzie ogień nie wygasa nigdy. Bucha gorąco, ciało obfity pot zlewa, hałas i warczenie dreszczem przejmuje — okropność.

„Jesteście w żywym piekle — mówi maszynista — tu nam całe lata schodzą, żonę i dzieci widzę raz na miesiąc, przez dzień jeden.“

Żar dusi, głowa się zawraca, i pniemy się spiesznie po drabinkach w górę. — Pierś odetchnęła głęboko, swobodnie, jak chłodnym eterem... tak świeżo... tak jasno...

Sycylia niknie wdali, jak mgła lekka poranna. Na południowym skraju szafirowych wód wypływa wązkim złotawym rąbkiem mała grupa wysp, rośnie na skłonie błękitu, wydłuża się powoli. Serca biją radością; oto już blisko najdalszy cel ku południowi — Malta. Leży cicho pośrodku Śródziemnomorza, u boku Afryki, oblane ciepłem złotem słońca, roztopionym wód lazurem, sławna niegdyś siedziba rycerskiego zakonu. Księga dziejów, niebo i morze złożyły się na jej piękno, na urok, którym wiąże ku sobie.

Żółte brzegi wzrastają szybko. Zdala roślinności nie widać, wyspa piętrzy się nagą skałą; tylko jej barwa coraz jaskrawsza. Z tłem w jeden obraz zlewają się jasne domy i wieże Valetty, stolicy. Zbitą grupą tłoczą się na prostopadłej ścianie kamiennej, zanurzonej w morzu.

Płyniemy ciągle. Valetta rośnie majestatycznie. Skalną ścianą przerywa morze dwa razy, weiskając się długimi fiordami w głąb wyspy. Na ostrym przylądku, oblany wodami zatok, skupiła się główna część miasta; tam w górze na pałacu gubernatora zatknięta chorągiew angielska. Po przeciwnej stronie zatok skupiły się inne dzielnice. — W gładkich, ociosanych skałach czernieją otwory z końcami armat ukrytych — to niezdojta warownia, jak Gibraltar.

Kamienne, prostopadłe brzegi, zbita grupa domów i gmachów, o płaskich dachach — wszystko świeci oslepiająco w gorących promieniach słońca, plastycznie występując na błękitcie nieba i morza.

Wpływamy ostrożnie do portu. Długi fiord wiję się wśród skał i domów, wypuszczając boczne zatoczki, pełne fantazyi.

Widok zachwycający!

Na wodach leżą porozrzucane statki parowe, przybyłe ze wszech stron, wielkie okręty wojenne, smukłe torpedowce; setki łódek się uwija.

Stajemy. Spuszczono schodki, przyplływa łódź angielska. Wchodzi na pokład lekarz i urzędnik portowy; dają podróżnym do podpisania zeznanie z przysięgą, że od 30 dni nie byli w Indjach, gdzie obecnie zaraza się szerzy.

Podpisaliśmy. Wolno wysiadać.

\* \* \*

Kamiennymi wschodami i krętymi ulicami pniemy się w górę. Słońce przygrzewa, jak u nas w lipcu, bo tu zima jest wyrazem bez treści — cały rok lato. Twarz ciemniej bardziej z każdą godziną, oczy się mrużą od blasku, w uszach wrzawa. Toczą się wozy dwukolne, z owocami i jarzynami, piszcza przekupnie, jęczący żebrak o jałmużnę. Zbliża się przedstawiciel władzy, żebrak milknie i znika. Wszędzie czysto, powietrze świeże, dokąd zwrócić oko, widać błękit morza lub nieba.

Szersza, długa ulica — to Strada Reale. Rozlega się turkot dorożek, woźnice natrętnie zapraszają — Popod żółte ściany domów suną się ciemne postacie kobiet. Co za strój! Żałoba?.. Czarna spódnica, czarny stanik, a głowę i ramiona okala jedwabny fartuch, zmarszczony u brzegu, wydęty, niby żagiel okrętu. Twarz w nim się jasno rysuje, rzadko ładna, bez wybitnych cech, zatarta, o ciemnych oczach. Idą poważnie, powoli, jak zakonnicze. — Jakim kontrastem uderzają postacie strojnych angieli! — Ruchy nieco sztywne, pełne godności i pewności siebie — prawdziwe władczynie wyspy.

Rozlega się trąbka wojskowa. Długim szeregiem kroczy pułk szkockiej załogi. Czy patrzymy na upstrzonych indyan? Żółte kaftany, opięte białym pasem, szkockie spódniczki, nagie kolana, szkockie czerwone pończochy, białe kamasze na butach, a z przodu wisi od bioder błyszczący półksiężyc z długim włosieniem. Muzyka przygrywa, z piszczałek i kobzy wydając tony zmieszane, piskliwe. — Wszystko wygląda na balet w teatrze — dla oka pociągające.

W blasku słońca widzimy twarz czarną, lśniącą, w rozchylonych ustach przeświecają białe zęby — to murzyn.

W bocznej uliczce nowe zjawisko — dwaj synowie Tunisu, berberzy. Starsi wiekiem, z rzadkimi brodami, kroczą poważnie w pantoflach, owinięci szerokimi burnusami, na głowach zawoje białe, jak wielkie gniazda bocianie. Rozglądają się spokojnie, a wyraz twarzy prostoduszny.

(Dokończenie nastąpi).

# Gawot Maryi Antoniny

SZKIC FANTASTYCZNY

przez

Marcelego Strzemienieczyka.

„Reine, qui tiens ma vie  
Captive dans tes yeux,  
Qui m'as l'âme ravie,  
D'un souris gracieux,  
Viens tôt me secourir,  
Ou me faudra mourir...“  
(Vieux refrain de jadis.)

I.

Jeszcze raz! i raz jeszcze jeden... jeszcze?.. dosyć, dosyć!

Ten dziwny, smutny półuśmiech pani Maryetty i ta nuta rozmarzającego gawota, zaczęły mu grać na nerwach w sposób przykry, oczy młodego mężczyzny jednak przykute były jakąś wyższą siłą do drobnej, wiotkiej postaci kobiety siedzącej przy pianinie.

Po raz dziesiąty może powtarzała pełną finezyi, subtelną kompozycję, zawsze jednakowo akcentując niektóre frazy, cieniując główne motywy, pieszcząc się perlistymi trylami, zasłuchana w własną muzykę.

On siedział niedaleko przy małym, okrągłym stoliku, i podparłszy głowę na rękę, tonął cały wzrokiem w ładnej kobiecie. Papieros zgasł mu oddawna, machinalnie obracał w dłoni rzeźbiony stalowy nożyk w kształcie kindżału tureckiego i patrzył, patrzył a słuchał...

Jasna główka, pochylona nad klawiaturą, kołysze się z lekka w takt muzyki... wielkie zielonopopielate oczy o złotych iskierkach, zaszklona zaduma, czysty profil odcina się plastycznie na adamaszkowym obiciu salonu, tworząc szlachetną prostą linię, z niskim czołem, jak wykutem w białym kamieniu, frędzliste, ciemnoblonde rzęsy opadają na szczupły ował, obramowany falą jasnych włosów, kunsztownie splecionych z tyłu, na giętkiej klasycyznych kształtów szyi... Coś klasycznego w ogóle tkwi w całym głównym zarysie tej małej główki, połyskującej złotawymi nitkami jedwabistej peli, osadzonej na spadzistych, kształtnych ramionach, w rysunku niskiego czoła, w zgięciu cienkich brwi ciemnych, w dumnym wyrazie ust trochę zapełnionych. A oczy pani Maryetty! To cały poemat barw, światła i cieni. Głębokie jak ocean, wiecznie zmieniające kolor, wiecznie uśmiechnięte, ironiczne, spokojne. Może umyślnie kryje je pod złotymi binoklami, mówi że ma krótki wzrok... trudno temu uwierzyć...

Ileż razy pragnął Jerzy zbadać nieodgadniony dla niego wyraz tych dwóch gwiazd promiennych... Niegdyś tak umiał w nich czytać... lecz to minęło... Tymczasem siedzi zapatrzony i zasłuchany, i tak mu dobrze tu z nią i ciężko zarazem. „Stój, chwilo, jesteś piękna!“ miałby ochotę zawołać z Goethem, i pragnąłby zakląć czas i wskazówki zegara stojącego na marmurowym postumencie, który właśnie przed chwilą dzwięcznie wydzwonił 9-tą godzinę wieczorem. Zdała dochodzi głuchy szmer wielkiego miasta, tłumiony ciężkimi portyerami. Za godzinę mają jechać na wieczór tańczący we troje, to jest: pani Maryetta, obecny właśnie, wysoki o sympatycznej twarzy i myślących oczach młodzieniec, i spodziewany co chwila mąż pani Maryet-

ty, na którego czekają oboje już w balowym rynsztunku. Biała adamaszkowa suknia z bufiastymi rękawami z szafirowego pluszu obcisła szczupłą kibić Maryi, świeże chryzantemy, białe i żółte oplatają bawet wyciętego stanika. Taki sam pęk leży koło niej na pulpicie pianina. Jerzy patrzy na nią, gdy tak siedzi pogodna niby i jasna... żadna zmarszczka nie maćci gładkiej powierzchni jej czoła; dlaczegoż więc uśmiech jej ma dar intrygowania go? O czym myśli? zadaje sobie pytanie; o czym myśli ta prawie dziecinna główka. Ten jej uśmiech tak dziwny... zaczyna się w kącikach ust a ginie gdzieś w głębi zagadkowych żenic przejrzystych a ciemnych, jak głębie jeziora Nemi tajemniczych, złowrogich może...

Pani Marietta nagle przestała grać, zdjęła swe złote binokle, i wycierając je cieniutką chusteczką, zwróciła się do towarzysza wdzięcznym ruchem główki.

— „Dziękuję panu, kuzynku Jerzy, za śliczną wiązanekę chryzantemów, rzekła, — uzupełniają one moją dzisiejszą toaletę. Staś zapomniał...“

Spotkała utkwione w sobie oczy Jerzego, i mimowoli urwała niedokończone zdanie.

— Coś się pan tak zamyslił? Ładny gawot, nieprawdaż? Ale pan go może nawet nie słuchałeś?

On milczał, nie śmiąc jej wyjawic, że on wie, że to uczucie nie dla męża napiętnowało te jej alabastrowe skronie o błękitnych żyłkach leciutką barwą żółtawą, jakby z kości słoniowej zwiana? że to uczucie nie dla męża, lecz inne wielkie a niezaspokojone, kładło na jej nabrzmiałe wargi jakieś żary i płomienie... że to miłość nie dla męża, który przestał ją kochać oddawna, zapalała w jej oczach iskry bólu, gorzycy i pragnień tajonych... czy też się mylił... czy też panował tam tylko wielki, niezmacony spokój i pogoda?... Pogoda? Może tych jezior afrykańskich, śmiejących się lazurem na powierzchni, lecz które w swem łonie ukrywają gniazda krokodyłów?... Dziś musi dojść prawdy... niech się stanie, co stać się musi...

Kochał tę kobietę od tak dawna, i milczał... Nie, nie chce myśleć o niczem, nie badać, o nie nie pytać... dobrze mu tu z nią w tym wonnym salonie, wśród kwiatów i blasków przyświeconych. I z całego serca powtarza wykrzyk swój zwrócony do czasu, który wciąż mknie nieubłagany:

Stój chwilo! jesteś piękna!

II.

Gawot brzmi znowu.

Na lśniących taflach salonów mkną strojne pary, jak różnobarwne motyle, błyszcząc i szeliszcząc brokatem, jedwabiem i klejnotami. Uśmiechnięte margrabiny, uroczę jak bóstwa, okręcają ręce nad głowami swych partnerów, z dworską gracyą tańcząc gawota.

W głębokich ukłonach chyła się kędzierzawe, upudrowane główki, słuchające z zalotności pełnem wejrzeniem gorących, pustych słów towarzyszy, szepczących w różowe uszka słodkie wyrazy miłości... miłości bez jutra, płochę, rozśmianej, lekkiej jak chochlik, nietrwałej jak rumieniec róży po pocałunku motyla.

„Trompeurs exquis, et coquettes charmantes,  
„Coeurs tendres, mais affranchis du serment!...“

Śmiech dzwoni perlistym dźwiękiem. Tancerze zniżają swe strojne berety do drobnych stóp pań swych myśli i serc, które zdradzają za godzinę z uśmiechem — zamiatając posadzkę po-

włóczyłym pióropuszem. Oczy błyszczą gorącą życia i młodości, karminowe wargi rozchyła rozkoszny uśmiech, falujące łona pod atłasami tchną upojeniem... Wszędzie uśmiechy, znaczące ręk ścisnienia... wesele... radość wytworna, dyskretna... Jak pięknym świat i życie!

Co to? Nagle zmieszają się pary... Jakby jęk zgrzytliwy dysonans jakiś przerwał brutalnie pieszczoną melodję gawota: Słychać lekkie okrzyki zdziwienia i przestachu... Niedomówione słowa, śmieszki zalotne, wyznania niedokończone skonały na ustach tancerzy...

Coś ciężkiego, niewidzialnego, a straszniejszego jak mara śmierci nieuchwytna, niby podmuch zamogilny zawisło nad głowami strojnych par. Pogasły światła... zdała dochodzą jakieś dziwne, głuche szmery, zgrzyty, przekleństwa... Z poza haftowanych opon jedwabnych w lilie śnieżne burbońskie malowanych wychylają się szatańskie głowy szydersko uśmiechnięte... dzierżą skrzypce i pochyliwszy w piekielnym uśmiechu głowy potworne, wtórują tonom jakąś dziwną muzyką... Słychać dzikie swisty, to ryki fali ludzkiej... słychać słowa: „lilia pedibus destrue.“

Amorki malowane na suficie zakrywają oczy ze zgrozą... Rzesza w czerwonych czapkach wtargnęła w złociste podwoje pałacu.. śnieżne lilie spływały krwią... I cisza...

Taka cisza... nagła, głęboka, przerażająca, jak cisza grobów...

Nagle...

Nagle te same uśmiechnięte, wdzięczne sylwetki pięknych panów i dam o upstrzonych muszkami twarzach wkroczyły do salonu. Giętkie ich figurki, nóżki małe, elastyczne, obute w świecące pantofelki na wysokich korkach posuwają się znowu w takt muzyki... ale bez głów... Tułowy same schylają się z wdziękiem w takt gawota... który brzmi gdzieś z dala i urywa się, nikt nie i kona...

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Z bieżącej chwili.

— Ministeryum skarbu pozwoliło, jak donosi „Kuryer Codzienny“, na kursach buchalteryi p. Regulskiego w Warszawie objaśniać niektóre przykłady z buchalteryi w języku polskim.

Rada państwa rozpatrzy wkrótce projekt dotyczący generalnej komisji egzaminacyjnej dla wstępujących do wyższych szkół technicznych.

— W sterach rządowych przygotowywany jest projekt dotyczący zastawu majoratów w Królestwie Polskiem.

— W tych czasach koncertować będzie w Warszawie Marcelina Sembrich-Kochańska.

— D-r Henryk Struve, profesor filozofii na uniwersytecie Warszawskim, obchodził w ubiegłym miesiącu 35-letni jubileusz swej działalności naukowej.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 14-ty powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

**Treść:** S. p. Aleksandra Borkowska, przez Szczęsną (z rysunkami). — Pogawędka, przez ?? — W albumie panny S. K., przez Mię Łopuszańską (dalszy ciąg). — Ruch niewieści w Galicyi, przez Janinę S. Aleksotę. — Teatr, przez Kazimierza Glińskiego. — Po błękitnych morzach, przez Stanisława Maszewskiego (dalszy ciąg). — Gawot Maryi Antoniny szkic fantastyczny, przez Marcelego Strzemienieczyka. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 14-ty. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.